ROZMAITOŚCI.

Dnia 23. Grudnia | Nr 51. | Roku 1843.

ŻOŁNIÉRZ, KRÓL I ŻEBRAK.

(Dokończenie.)

ŻEBRAK.

Gdy się margrabia Boissieux o mojém przybyciu dowiedział, nie mógł się z zadziwienia opamiętać. Właśnie w téj chwili, kiedy mniemał: że się burza ułożyła i Korsyka uspokojona, brzmiało moje imię jako hasło powstania. Nadaremnie groził on walecznym Korsykanom gniewem króla Francyi; śród okrzyków: »Niech żyje król Teodor!« cały kraj rzucił się do broni.

Nieprzyjaciołom moim chodziło o moję osobę, chcieli mnie przez jakikolwiek sposób dostać w ręce swoje. Trzy francuskie fregaty, połączone z genueńskiémi *galionami*, otrzymały rozkaz uderzyć na okręt, na którym się znajdowałem. Jakoż w saméj istocie okręt ten zabrano, lecz mnie tam już nie było, również i ładunek był już uprzątnięty. Podwojono załogi po miastach, Genueńczykowie nadesłali spieszno posiłki, i w tymże samym czasie wezwano Francyję o pomoc. Wkrótce miała stanąć przeciw mnie armija do boju; Korsykanie nie tracili ducha i byli gotowi wdać się w tę niebezpieczną walkę. Ale ja widząc, że moja obecność tylko ich stan pogorszy, będąc przekonanym, że nieprzyjaciel wszelkich na moję zgubę chwyci się środków, postanowiłem natychmiast opuścić potajemnie wyspę, aby się znowu na niéj w sam dobry czas pojawić. Teraz miałem już przynajmniéj tę pewność, że mogę polégać na przywiązaniu ludu; chodziło tylko o to, aby sposobną do działania upatrzyć porę.

Gdy się to działo, nie przestawał waleczny Drosth za porozumieniem się naczelników kantonów, uzbrajać górali i przyuczać ich wojskowéj sztuki.

Oddalając się z wyspy, zapewniłem moich poddanych, że wkrótce do nich powrócę i że im królem być nie przestanę. Przybyłem szczęśliwie do Neapolu i udałem się bez zwłoki do konzula holenderskiego. Lecz ajenci francuzcy i genueńscy wypatrzyli moję kryjówkę, zawieziono mię do Gaeta i zamknięto w cytadeli. Moje uwięzienie było dla Genueńczyków okrzykiem zwycięztwa, lecz niedługo trwała ich radość; za wdaniem się angielskiego i holenderskiego konzula, przewieziono mię z więzienia do państw papiézkich.

Z mojéj nieobecności i mojéj niewoli korzystając, podał Boissieux nowe układy, które Korsykanom zapewniały niezmierne korzyści: zupełną amnestyję, powrót majątków i godności naczelnikom, wyniesienie wielu rodzin do stanu szlacheckiego, sądy złożone z sędziów wybiéranych z ludu, nadanie niższemu duchowieństwu prawa do wyższych dostojeństw, zniszczenie cła, opiekę francuskiego rządu, słowem, nie szczędzono niczego, aby Korsykanów do układów nakłonić. Byli niektórzy, co chętnie na te układy przyzwalali, ale rdzeń narodu i masa ludu odrzucała je z pogardą. Na nowo więc rozpoczęły się nieprzyjacielskie kroki. Jeden batalijon opuściwszy Bastyję, zbliżył się do stóp gór, ale żadnego nie spotkał powstańca. Nieprzyjaciele rozkładają się obozem, cisza panuje dokoła, aż nagle pośród jednéj nocy na szczytach skał ukazują się ognie, wrzaskliwe trąby powtarzają się tysiącznem echem. Naczelnik batalijonu z obawy blizkiego natarcia Korsykanów, śle o pomoc do Bastyi, lecz goniec zmyliwszy drogę, staje dopiéro nazajutrz na oznaczoném miejscu. Natychmiast uderzają we wszystkie bębny do pochodu, Boissieux chociaż chory, staje na czele 2000 ludzi i spieszy w pomoc zagrożonemu obozowi. Lecz już go nie zastaje; ze wszech stron otoczeni żołniérze robią odwrót i łączą się z posiłkowym korpusem jenerała; wtedy ukazują się Korsykanie na skałach, sypią zpo-za krzaków na Francuzów i Genueńczyków morderczym ogniem i pędzą nieprzyjaciela aż pod mury miasta. Grenadyjerowie w ucieczce swojéj w ciasne wąwozy wtłoczeni, padają bez wszelkiéj obrony, i gdyby powstańcy, prowadzący do Bastyi most byli zdobyli, cały

oddział wojska nieprzyjacielskiego byłby niechybnie padł trupem.

Ta klęska zadana Francuzom, które oni sami korsykańskiemi nieszporami nazywali, rozstrzygnęła los powstania. Zewszad napływały tłumy ludu i brały oręż; na wszystkich punktach uderzano na załogi francuskie. Przestraszony jenerał wezwał pomocy, lecz dopiéro po niejakim czasie przysłano mu kilka pułków posiłkowych.

Nader więc smutny los spotkał wojska nieprzyjacielskie. Okropna burza rozbiła ich okręty przy wybrzeżu korsykańskiém; biédni rozbitowie, którzy zdołali ujść morskim bałwanom, wzięci przez górali w niewolę, za szlachetném tylko wstawieniem się walecznego Paoli, zostali przy życiu.

Biédny margrabia Boissieux tylokrotném nieszczęściem znękany, umiéra ze zgryzoty i rozpaczy, a jego wojsko ze wszech stron zamknięte, widzi przed sobą i za sobą tylko mściwego nieprzyjaciela. Z mojéj strony, pomagałem nieustannie pomyślnéj sprawie Korsykanów u wielkich mocarstw przez rozmaite intrygi; wyjednałem za ich pośrednictwem wolność najznakomitszych zakładników korsykańskich, również i mój okręt oddano kapitanowi holenderskiemu. W pałacu wersalskim nazywano hordy górali, wcielonemi szatanami i zwątpiono nawet o zupełném poddaniu się Korsyki, zwłaszcza gdy Korsykanie oświadczyli: że z senatem genueńskim w żadne nie chcą wchodzić układy. W manifeście tegoż narodu do wszystkich państw europejskich stały te słowa: »My chcemy mieć króla, któryby jedynie dobrem naszego kraju się zajmował, a naszym królem tylko ten będzie, którego sami sobie obierzemy; żadna przemoc nie zmusi nas do hołdowania królowi, którego naród nie uzna.«

Wkrótce potém odbyło się na targowym placu w Tavagna powszechne zgromadzenie. Każden deputowany ponowił w imieniu swego powiatu złożoną obranemu królowi przysięgę, która w te brzmiała słowa: »Wolimy raczéj dźwigać jarzmo Turków niż Genueńczyków; uznajemy nanowo barona Neuhof za naszego króla!«

Aby swój opór skuteczniejszym uczynić, zaczęto sypać okopy, wznosić reduty, zakładać warownie, i w téj odpornéj postawie oczekiwali Korsykanie na wojsko nieprzyjacielskie, które pod naczelnictwem margrabiego Maillebois na uśmierzenie buntu nadciągało. Jenerał ten oględniejszy niż jego poprzednik, chcąc naczelników przyciągnąć dyplomatycznym wybiegiem na swoję stronę, rozgłaszał wieść o mojéj śmierci i zapobiegał wszelkiemu w téj mierze wyjaśnieniu przejmując wszystkich moich gońców. Niektórzy z chciwych sławy Korsykanów, zawistném okiem na moje wyniesienie patrzących, dali się do zamiarów margrabiego nakłonić, udając, jakby téj wieści zupełną dawali wiarę; tylko górale nie dali się tą pogłoską uludzić; szlachetny lud ten dochował mi święcie swojéj przysięgi.

Wtedy dopiéro zaczęły się tajemne układy między margrabią a naczelnikami Korsyki. Ci wyrodni synowie wolnego narodu, zmuszeni walczyć na czele swoich ziomków, dali zdradnemu nieprzyjacielowi przyrzeczenie: że nie będą skutecznego stawić oporu, że sami przechylą szalę zwycięztwa na stronę Francuzów! Stanęła więc ta szkaradna umowa; bohatérski naród zaprzedany i zdradzony przez swoich naczelników, śmiało szedł na pole bitwy nie przeczuwając nawet tak haniebnego spisku! Każden żołniérz dokazywał cudów waleczności, każda wieś była twierdzą, każdy dom miejscem obronném; jak lwy walczyli Korsykanie, ale nadaremne było ich wysilenie, zdrada niszczyła wszelkie poświęcenia, zdrada odniosła tryumf nad bohatérskim narodem! Korsykanie na głowę porażeni, musieli się poddać i broń złożyć!

Takim więc zdradzieckim sposobem podbijano jedne prowincyję po drugiéj, tylko jeden obwód Talavo zachował jeszcze swoję niepodległość, tu stał na czele powstańców mój dzielny Drosth i zapalał odwagę témi słowy: »Teodor żyje jeszcze, w krótkim czasie do nas powróci, aby walczyć za wolność naszę.«

Ci waleczni spotykali się z nieprzyjacielem jak najzaciętéj, każda piędź ziemi, które ustąpić musieli, kazali nieprzyjacielowi drogo okupić, a ustępując trzykroć większéj sile, skryli się w góry do wsi Ziccavo, położonéj na wysokiéj skale; tu wznieśli szańce i ożywiali nawzajem odwagę swoję témi słowy: »Tu musimy pozostać, albo umrzéć z chwałą!«

Dowiedziawszy się o bohatérskich czynach téj małéj garstki, rzekłem do mojego syna: »Pójdźmyż i my ginąć razem z naszymi braćmi!« Przebrani za górali dostaliśmy się nareszcie przez tysiączne przeszkody do tych szlachetnych męczenników właśnie w téj chwili, kiedy kapłan po mszy świętéj dawszy im komunię świętą, zagrzéwał ich w treściwéj mowie do wytrwania i poświęcenia się na śmierć za mnie! Nagłe moje okazanie się napełniło serca wszystkich niesłychaną radością, ze łzami w oczach ściskali moje kolana i każden przysięgał mi nanowo, że mi poświęci życie swoje. Było ich tylko 1200, a już nazajutrz 3000 czekało rozkazów moich. Ta więc garstka osadziła znowu góry, nieprzyjaciel pierzchał, a waleczna ręka

Korsykanina torowała sobie drogę bagnetem. Margrabia Maillebois wyruszył przeciw mnie z całą swoją siłą, na wszystkie strony rozesławszy śpiegów i zdrajców. Ustępując przewadze i zdradzie, cofnęliśmy się znowu do wsi Ziccavo. Pewien inżynier z Piemontu, walczący w naszych szeregach, wzniósł na prędce szańce, za któremi w sto ludzi oczekiwaliśmy nieprzyjaciela. Zdrada wskazała mu tajemne ścieżki, piérwsze czaty zostały zabrane, a wojsko margrabiego Maillebois, obległo natarczywie wioskę. Przez trzy dni dotrzymywaliśmy kroku, moi towarzysze przysięgli na ewanieliję, bronić się do ostatniéj kropli krwi; ale wnet zabrakło kul i prochu, szańce zostały zburzone, i dla tego niemogli ci waleczni dochować swojéj przysięgi. Nim ostatni atak przypuszczono, kazano nam oznajmić, że jeźli się nie poddamy, wyginiem do nogi. Litość mnie brała widząc, że moi towarzysze na niechybną rzeź idą! Żądałem więc zwłoki na dwadzieścia jeden godzin, a gdy ją otrzymałem, korzystając z nocnéj pory, kazałem wieś opuścić, majątek mieszkańców ukryć w jaskiniach, a potém wkrótce dostaliśmy się na szczyty gór Casciony. Nazajutrz po upływie zawieszenia broni, zbliżyli się Francuzi pod szańce, lecz głuche tam panowało milczenie; tém zdziwieni przedziérają się do wsi przez okopy, lecz i tam nie ma żywego ducha, a kiedy się w myślach zaciekają, jakby ten cud pojąć, straszliwy grom śród przeraźliwego krzyku rozléga się ponad ich głowami! Spojrzawszy w górę, ujrzeli nas nad swojémi głowami jak drapieżnych sępów na ich zgubę dyszących. Margrabia nie śmiał się pokusić zwidzić nasze kryjówki, miał bowiem nadzieję, że głód zmusi nas do opuszczenia naszego górnego stanowiska. Nie wiedząc że się między powstańcami osobiście znajduję, zostawia tylko sto ludzi we wsi, aby nas mieli na oku. Dla zniweczenia planów nieprzyjaciela, odprawiam z naszego pocztu tych wszystkich, którzyby nam na zawadzie byli, trzystu tylko górali zostaje przy mnie, którzy rozłączywszy się z swojémi rodzinami, razem zemną umrzéć poprzysięgli. Nadeszła zima; ci podziwienia godni ludzie znosili głód i mróz bez wszelkiego szemrania. W miesiącu grudniu ustąpił ze wsi nieprzyjaciel, a my spuściliśmy się w doliny; wkrótce ze wszech stron gromadzili się nasi towarzysze, i znowu u podnóża gór śniegiem pokrytych, rozpoczęła się zacięta walka. Znużeni, chorobami wycieńczeni Francuzi, nie chcieli już dłużéj toczyć boju; margrabia chcąc nie chcąc musiał ustąpić. Oddalając się z wojskiem do Francyi, oświadczył Genueńczykom: że Korsykę już podbił i uspokoił, że posłannictwo jego spełnioném zostało, gdy tymczasem cały obwód Talavo stał na zbrojnéj stopie i mnie za swego króla uznawał.

Korzystając z odejścia wójsk francuskich, rzuciłem się znowu do moich planów.

Nadzieja otrzymania posiłków, nie opuściła mnie i tym razem jeszcze. Moi waleczni towarzysze ściskając moje kolana, ze łzami w oczach przysięgali mi uroczyście, że dotrwają w mojéj sprawie aż do ostatniego tchnienia i że pod rozkazami Drostha i mego kuzyna będą oczekiwać mego powrotu. Jakoż wszyscy pomimo najokropniejsze cierpienia dochowali święcie swojéj przysięgi.

Nadaremnie błąkałem się po Afryce, Włoszech i Niemczech. Ale gdym Francyję w ową nieszczęsną i okropną wojnę z r. 1741 zawikłaną ujrzał, pospieszyłem natychmiast do Anglii, gdzie moje zamiary chętnie przyjęto. Admirał na Śródziemném morzu otrzymał instrukcyje odnoszące się do moich planów. Miał się on z Sardyniją, która Genueńczykom wojnę wypowiedziała, porozumieć i wejść z nią w układy. Już złoty promień nadziei błysnął był w mojéj duszy, gdy oto jenerał państwa sardyńskiego oświadcza: że na pomocy ziomków jego polegać nie mogę, gdyż ci radzi widzą zaburzenie i niezgodę Korsykanów i pragną ich upadku! Od téj chwili wzbraniał się admirał angielski czynnie wystąpić. Opuszczony od wszystkich, zebrałem jeszcze raz ostatnie moje siły; z dwoma angielskiémi okrętami wylądowałem znowu przy Isola Rossa; waleczni moi towarzysze broni, pospieszyli na moje powitanie; pomimo najprzykrzejsze losy, ich bohatérska odwaga wytrwała do końca. Drosth, mój syn, i mój kuzyn, dokazywali cudów waleczności, ale nadaremnie, musieliśmy ustąpić. Od téj chwili wszelka już dla mnie zniknęła nadzieja, droga do mego królestwa była mi zamknięta! Postanowiłem udać się do Francyi, stanąć przed Ludwikiem i rzéc do niego: »*Sire*, pozbawiłeś mię tronu, uważajże teraz we mnie króla bez korony. Winieneś mi wyznaczyć jakiś pałac do mieszkania, chociażby tym pałacem była—bastyla!«

Pomimo czujnych śpiegów, pomimo rozesłanych na wszystkie strony pojmania mię rozkazów, dostałem się do Paryża; jakaś niewidoma opiekuńcza władza zdawała się czuwać nademną. Prawie w obliczu policyi przebiegam Paryż, spieszę do Wersalu i przybywam wieczorem właśnie w tę porę, kiedy pałac wersalski tysiącem świateł płonie. Dawano spaniały festyn na uczczenie wzięcia Pragi i zadanéj klęski wojsku Maryi Teresy, téj bohatérskiéj monar-

chyni, która podobnie mnie, swoich krajów przeciw całéj Europie broniła.

Ja, król narodu korsykańskiego, stałem w przedpokoju w tłumie lokai, i przypatrywałem się królom i książętom wchodzącym na salę! Widziałem króla francuskiego, jak się za jego wejściem, wszystkich dworzanów głowy głęboko pochyliły, jak on spaniale i uroczysto przez rozstępujące się kroczył tłumy! W piérwszym zapędzie pomysłu mego chciałem pojść prosto ku niemu i témi rzéc słowy: »Mój królewski bracie, oto król korsykański staje przed Wami, aby Was pozdrowił!« Chciałem sobie z królem jak z swoim równym postąpić, i gdy gniéw mój przebiéra już miarę — w téjże chwili właśnie wchodzi dama z pogardliwém wejrzeniem dumnéj postaci. Była to — ona, ona, która mię zdradziła! Otaczało ją grono wielbicieli, ja wciskam się w ich koło, i mówię do niéj z szyderskim uśmiéchem te słowa: »Przychodzę prosić cię pani o łaskę ostatnią, teraz nic mi nie pozostaje, jak tylko, abyś mię w ręce kata oddała.« Ona blednie i wydaje przeraźliwy krzyk przestrachu; ja przeciskam się przez tłumy, wpadam jak szalony do parku, i zatrzymuję się dopiéro przy ciemnéj altanie; tu rzucam się z płonącą twarzą na ziemię, biję pięścią o rozpalone czoło, przeklinam moje losy i tę kobiétę, która mię w te przepaść wtrąciła, a teraz, — o mnie zapomniała!

Gdym się opamiętał, gdy wrzawa festynu i dźwięki dalekiéj muzyki ocuciły mię z letargu omdlenia, stanęła mi w pamięci jéj czarująca rozmowa w Rzymie: »Zostań królem, moja ręka wolna!« I taż kobiéta tych słów sobie nie przypomina! A ten król, któremu teraz składają hołdy, wypędził mię z mego królestwa! Te myśli przywiodły mnie do wściekłości; powstawszy z ziemi wołałem dzikim głosem: Przekleństwo téj kobiécie, przekleństwo temu monarsze, przekleństwo temu dworowi, który mną jak piłką igra.... Teraz sama tylko zemsta będzie mojém odetchnieniem, zemście poświęcę moich dni ostatki!«

Opuszczam Wersal, jadę dniem i nocą, i staję w Boulogne. Tu spieniężywszy pierścień, ostatni mój klejnot, najmuję barkę i płynę do Anglii. Przybywszy do Londynu, spieszę do naczelnika ministeryjum, odkrywam mu nowe, świetne, olbrzymie plany, lecz następca Walpolego oszczędzając Francyję, nie chciał rozumiéć moich zamiarów. Gdy się to dzieje, margrabia Guastaldi, poseł genueński, wyśledziwszy moję obecność w Londynie, żąda od gabinetu angielskiego, aby mnie w ręce jego wydano; lecz rząd angielski był tyle spaniałomyślnym, że mnie nie oddał jako ofiarę moim nieczém nieubłaganym nieprzyjaciołom. Jednakże nieszczęścia mego nie był jeszcze koniec! Uknuto spisek przeciwko mnie, przekupiono kilku kupców, którzy mi podali myśl przyjęcia w ich imieniu traktatu, który zawarty był z holenderskiémi państwami. Zaliczono mi nieco z góry, ja nierozważny przyjąłem tę kwotę, a gdy się z długu uiścić nie mogłem, osadzono mię, za zezwoleniem angielskiego ministra, w więzieniu. Nadaremnie wzywałem jego pomocy, żadnéj nie odbiérałem odpowiedzi; tu opuszczony od całego świata, przepędziłem lat siedm; mój tylko biédny syn podzielał moje samotne godziny! Więzienie moje było dla mnie siedmioletniém konaniem! Tu się dowiedziałem o wielkich wypadkach, które całe Włochy wzburzały, tu się dowiedziałem o wojnie Austryi przeciw Genueńczykom, o nowém powstaniu Korsyki kiérowaném przez szlachetnego syna starego Paoli. Na tę wiadomość drżałem z radości, młodniałem i czérstwiałem na siłach; lecz to były chwile przemijające, posępne mury więzienia stanęły mi przed oczyma, a urojenie zniknęło!

Nareszcie zesłało mi niebo zbawcę! Syn wielkiego Walpole dowiedział się o losie moim; ojciec jego często z nim o mnie mawiał; odwidził mnie w więzieniu, a tknięty moją niedolą, skréśliwszy ją przed dworem żywémi barwami, wyjednał mi spółczucie.

Zrobiono składkę na zapłacenie moich wierzycieli, a w kilka dni potém otworzył mi więzienie mój szlachetny zbawca, który wszedłszy do mnie, te wyrzekł słowa: »Król Korsyki jest wolny!«

Po siedmiu latach odetchnąłem wolném powietrzem, i mogłem mój tron odzyskać.... płonna nadzieja! Teraz miałem tylko obszérniejsze więzienie, bo niém było całe miasto Londyn, z którego wydalić się nie było mi wolno!

Piérwéj miałem przynajmniéj kosztem rządu liche utrzymanie życia, a teraz żadnego, teraz, jak mówiono, rząd był wolen od téj pomocy!

Na domiar mojéj rozpaczy, wrogi moje stawały mi wszędzie w drodze; oszczérstwem okradano mię z łaski moich dobroczyńców, postarano się oto, że mię jako cudzoziemca wymazano z listy ubogich, których obdzielano jałmużną; zawziętość nieprzyjaciół niweczyła wszystkie zabiegi mego syna i powyszukiwała nieznanych wierzycieli, którzy nam ostatki zabrali! Nadto, złość wrogów moich zrobiła mię urągowiskiem ulicznéj hołoty; przyszło do tego, że kiedym szedł przez ulice Londynu, chłopcy uliczni wołali za mną: »Na ustęp! Jego królewska Mość idzie! Rzućcie jałmużnę wielkiemu

królowi Korsyki! O, potężny panie, przedaj nam twoje królestwo, damy ci za nie chleba!«

A więc z-iściła się wróżba owéj nieszczęsnéj Sybilli: Żołniérz, król i — żebrak, otoż horoskop mego losu!

* * *

Tu się kończą pamiętniki; syn Teodora ciągnie daléj tę powieść témi słowy: Ja byłem jedynym towarzyszem ojca niedoli; nadaremnie starałem się o polepszenie jego losu, bo Horacy Walpole opuścił Angliję, współczucie, które on dla mego ojca obudził, ostygło z czasem! Sprzedawszy to, co nam jeszcze było pozostało, wziąłem się do dawania nauki w językach, lecz czy nieszczęście, czy téż złość wrogów naszych, odstręczała mi wszystkich moich uczniów. Ojciec mój wpadł w chorobę, smutek osłabił jego siły umysłowe. Brudna, ciemna komórka była naszém pomieszkaniem. Patrzyć jak ojciec z niedostatku dogoréwa, a niemódz przynieść mu chleba, o, co-za niewysłowione katusze dla syna! Szukałem drogi do serc ludzkich, lecz na domiar naszéj niedoli, natrząsano się z nas jeszcze! Smutny, łzami zalany, siedziałem przy łożu chorego ojca. Wtedyto mawiał starzec do mnie: »Czego się smucisz moje dziécię, świetna czeka cię przyszłość. Po mnie, ty królem zostaniesz... Tak, tak, mój synu, korona Korsyki jest twoją własnością, nikt ci jéj zaprzeczyć nie może.... spojrzyj tu....« i wskazał na pargamin, na którym lud korsykański zatwierdził wybór Teodora na króla swego i nadał potomkom jego prawo do korony. Po chwili rzekł do mnie: »Ty mój synu zemścisz się za twojego ojca, ty będziesz królem!«

»O, tak mój ojcze, ja się pomszczę za ciebie.... Mam nadzieję, że twoję imię na tronie Korsyki świetnieć będzie.«

Ja... ja marzyłem o królestwie, ja... który kawałka chleba nie miałem!

* * *

Jednego wieczora, byłoto dnia 11. grudnia r. 1753 — zapadł mój ojciec w niemoc letargiczną; w niemym smutku czuwałem przy jego łożu. Właściciel domu, w którym nędzną mieliśmy kryjówkę, przesłał mi właśnie wyrok sądowy: że jeżli nie uiścimy się z należytości, nazajutrz władza sądowa każe nas z niéj wyrzucić! Począłem płakać, wpatrując się w blade oblicze starca, który dnia jutrzejszego nie będzie miał gdzie swojéj siwéj głowy złożyć! Noc była okropna, szyjący, mroźny wiatr dął w nasze nędzne legowisko i miotał śniég przez stłuczone szyby okna; zimno dojmowało coraz bardziéj; leżąc przy ojcu na mierzwianém łożu, przysunąłem się bliżéj, aby go rozegrzać; wtém słyszę tupot spiesznych kroków po wschodach, drzwi na pół zamknięte, rozwarły się z łoskotem, a wchodzący mężczyzna zawołał ze wzruszeniem: »Teodorze, Teodorze! raduj się, przynoszę zwycięztwo!!«

Byłto Baron Drosth. Gdy żadnéj na te słowa nie odebrał odpowiedzi, zapytał mię zdziwiony: »Fryderyku, gdzież twój ojciec?« — miasto odpowiedzi, wskazałem na łoże dogorywającego starca. Drosth rzucił się na niego, a objąwszy zimne ciało jego, wołał w boleści: »Teodorze, mój Teodorze! Ach otwórz choć raz jeszcze twoje usta! Jamto, ja, twój Drosth, twój brat, twój przyjaciel; przynoszę ci wolność i szczęście!« Starzec zdawał się przebudzać z letargu, i osłupiałém okiem wpatrywał się w swego przyjaciela.

Drosth do żywego rozrzewniony mówił daléj: »Ocknij się bracie, jesteś uratowany, będziesz królem jeszcze!«

»Ja, królem?« zawołał umiérający głuchym, przygasłym głosem, a konwulsyjne drzenie przebiegło po całém ciele jego.

»Tak, mój bracie, tyś królem Korsykanów. Korsyka cię wzywa, Korsyka czeka na ciebie!«

Starzec patrzył weń martwo i niemo.

»Jako? nie rozumiész mię? Anglija daje ci wolność i chce ciebie wspiérać, Genueńczykowie zrzekli się nareszcie swojéj zdobyczy, Rzym i Francyja rzucili o Korsykę kość niezgody pomiędzy siebie, ale ta wyspa jest twoją własnością, taka jest wola Angli. Pascal Paoli, syn szlachetnego Hyacyntha, niesie swoje życie tobie w ofierze, chce za twój tron walczyć i zginąć.«

»Ach tak, Paoli, Giafferi, podpory mego tronu... Jam królem... królem... chcę nim być, jéj na przekorę, przez zemstę.«

»Ona chce cię ratować, ona nie zapomniała o tobie, onato poséła mnie do ciebie....«

»Ona, ona?« to mówiąc, chciał się podnieść. »Ona?« To były ostatnie słowa jego!

Poskoczyłem mu z Drosthem w pomoc — lecz już skończył życie!

Właśnie wszedł właściciel domu aby spełnić wyrok sądowy.

Wskazałem mu na ojca, i rzekłem z okropną ironiją: Weź wp. tego trupa i zanieś go posłowi rzeczypospolitéj genueńskiéj, on wpanu nasz dług zapłaci.«

Złożone w prostéj trumnie zwłoki króla korsykańskiego, pogrzebano z litości na cmętarzu ubogich! Horacy Walpole przybywszy z swojéj

podróży już zapóźno, aby nam pomocną podał rękę, kazał wyryć nad grobem ojca mego napis do dziś dnia jeszcze zachowany: *»Miał tron, ale nie miał chleba!«*

* * *

W lat czterdzieści później, nieszczęśliwy syn nieszczęsnego króla, spadkobierca tak wielkiéj nędzy: z kolei pułkownik, dyplomata i pisarz, skłócony na zawsze z szczęściem, odarty ze wszelkiéj nadziei, przybył na grób ojcowski, aby się rozprawił z życiem swojém! Noc zapadała, grobarz wypędził go z cmętarza. Błąkał się przez noc całą po ulicach olbrzymiego miasta; nareszcie stanął przed kolumnami spaniałego Westminsteru; tu jako monarcha, szukał grobu dla siebie! Nazajutrz oświéciło słońce trupa przed kościołem: kula pistoletowa przeszyła mu czaszkę. Rozdarty pargamin leżał obok niego; byłto akt nadający Teodorowi i jego potomkom prawo do korony! Oddartym z tego dokumentu kawałkiem, przybił następca tronu nabój zabójczego pistołetu!

W tymże samym czasie rozpoczął zawód swój wnuk jednego z towarzyszów broni Teodora, wychowaniec Paolego, który wyspę swoję także z tą myślą opuścił: *»Ja muszę kiedyś być królem!«* — Dumny zwycięzca Rzymu, Cesarz Francuzów, miał w 28 lat późniéj, podobnież jak król Teodor, tak smutne i nieszczęśliwe zakończyć życie!

UNIEWINNIENIE POETY.

O, moi bracia, wam się niepodoba
Żem wybudował poezyi bożyszczu
Świątynię, w któréj kapłanem żałoba
A płomień śmierci na ofiarném zgliszczu,
Że samą uczuć krwiących się szkaradę
Jako obiatę na jéj ołtarz kładę!

Wam to niemiło, że po jéj sklepieniach
Ustawna burza mroczy się lub błyska,
Że dzikie tylko wiatry brzmią w jéj pieniach,
Że w niéj okropność i nieład zwaliska,
Że się w niéj roją same grobów larwy,
Że w jéj obrazach samo czarne barwy?

Bracia! Usiądźcie w stuletnich drzew mroku
Gdy ziemia zamknie dzienne swoje życie
W podwójnym nocy i burzy obłoku,
Posiedźcie chwilę, cóż tam zobaczycie?
Choć ziemia gienijusz, gienijusz w całéj sile,
Co umié tworzyć rozlicznie i mile.—
Za całą świątłość, z gęstwiny powicia
Błysną ci czasem sowy oczy kocie,
A ruch jedyny, jedyny znak życia
Nietopérz, w cichym przewinie się locie,
Albo ciężkiego podskoku ropucha
Głuchym tętentem przerwie nudę ucha!

Rozpalcież słońce — a w téj saméj stronie
Co barw, co kształtów, co dźwięków, co tonów
We mgnieniu oka ozwie się, zapłonie! —
O, póki ciemne słońce milijonów,
Póty, o bracia, niech mnie nikt nie wini:
Że tak ponuro w mych uczuć świątyni!

S. G.

HERDER O SŁOWIANACH.

Herder o Słowianach tak mówi: »Wszędzie śród wschodniéj Europy osiadali tam Słowianie, gdzie znaleźli kraj od innych ludów opuszczony. Kochali rolnictwo, starali się o dostatek w spichlerzu i oborze, znali różne pożyteczne sztuki, prowadzili do około płodami ziemi i piluości swéj, dobroczynny handel. Budowali chętnie nadmorskie miasta, między któremi Wineta zasłynęła i długo była ich Amsterdamem. Także na lądzie zakładali miasta, jak n. p. Kijów, Nowgorod, Gniezno. Mieszkali zwykle po wsiach. Górnictwo, topienie kruszców, wydobywanie soli z morza i lądu, robienie płótna, szczepienie drzew, warzenie miodu, było rzeczą im rodzimą. Wiedli wesołe muzykalne życie.—

TRAJEDYJA NAPOLEONA:
HEKTOR.

Poeta niemiecki Jan Gabryjel Seidl wydał niedawno w Wiédniu tłumaczenie trajedyi *Hektor*, pióra pana Luce du Lancival, którę tenże według myśli Napoleona i według skréślonego przezeń planu, ułożył. W przedmiocie do téj na model staro-francuskiéj trajedyi przykrojonéj, zewnętrznym okazałości przyborem, ubóstwo wewnętrznego uczucia pokrywającéj sztuki, udziela autor ciekawych szczegółów o początku tego dzieła: »Napoleon podobnie jak każdy ruchliwszego umysłu młodzieniec, zajmował się w szkołach pismiennictwem; pomiędzy innémi pisywał wiérsze. Homer, ów piérwszy wieszcz świata, był jego równie jak Alexandra Wielkiego i innych światłych ludzi, jedynym polubieńcem. Może też już w owéj porze myśl w Napoleonie powstała, ująć w ramy trajedyi ważniejsze wypadki i znamienitsze charaktery z Iliady. Takiego, jak Napoleon ducha, mającego w sobie popęd do

czynów Achilesa, mogłoż co bardziej zająć, jak ugrupowanie tak potężnych olbrzymów w około tego boskiego bohatera? Z tej rozlicznéj grupy upodobał sobie Hektora, jako ludzkiego bohatera Iliady, jego chciał natchnąć życiem dramatycznem. Jakoż po oblężeniu Tulonu miał się wziąć do dzieła. Kiedy i śród jakich okoliczności rzucił pierwszy zarys do téj sztuki, kiedy ją opracował na czysto, czyli forma dramatyczna przypadała mu do miary lub nie, to się nie da tak łatwo wyjaśnić, tyle tylko pewna, że będąc konzulem, jeszcze raz wziął manuskrypt pod pióro, powziął myśl, tę swoję pracę wystawić na scenie. Jako mąż czynu i wojownik, który tylko plany kreśli, a ich wykonanie podrzędniejszym siłom porucza, nie wahał się, postępując tym torem i na polu literackiém, oddać dzieło swoje w ręce znawcy, któryby rzucony przez niego plan ze sztuka sceniczną umiał pogodzić. Posąg surowa wyrzeźbiony ręką, miał pójść pod gładsze dłóto. Lecz odgłos trąby wojennéj spłoszył Muzy od boku Napoleona i dopiero, gdy został Cesarzem, oddał płod swój dramatyczny profesorowi Luce de Lancival, aby koło niego z pilnikiem swoim pochodził, do czego tenże już jako biegły znawca klasyków, już jako autor dzieła: *Achille à Scyros*, miał przed innemi talentem swoim pierwszeństwo. Tenże pod okiem Napoleona nie tylko, że temu dziełu gładsze dawał kształty, ale całe sceny i charaktery zmieniał, które scenicznym prawidłom stały na przeszkodzie. Nareszcie odbiera komitet *théâtre français* dokładnie obrobione i wygładzone dzieło, z żądaniem, aby na scenie przedstawione było, ale... odrzucono je. Na drugi dzień staje przed aktorami sługa stajenny Napoleona w swojéj powszedniéj kurtce i oddaje karteczkę, na któréj te słowa stały: *»Les acteurs du théatre français joueront d'aujourd'hui en un mois la tragedie qu'ils ont la bêtise de refuser. Napoléon.«* (»Rozkazuje się, aby ta trajedyja, którą aktorowie teatru français przez swój nierozsądek odrzucili, od dziś za miesiąc na scenie przedstawioną była. Napoleon.«) Ta pigułka skutkowała. Z największym pośpiechem wzięto się do dzieła, pierwsze osoby francuskiej sceny, Talma i Duchesnois, przyjęli główne role. Dnia 1. lutego 1809 było pierwsze przedstawienie. Sztukę przyjęto jak najlepiej. Luce de Lancival, który Cesarzowi swego imienia na afisz pożyczył, otrzymał krzyż legii honorowéj i roczną pensyję 6000 franków. — Cesarz był kilkakrotnie na przedstawieniu swojéj sztuki, pochlebiało mu to, kiedy publiczność wiedząc po części o tem, co zaszło, oklaskiwała jego ulubione myśli, jak gdyby je chciała ściągać do osoby Cesarza.

Romantyczność. Menzel twierdzi, że to jest romantyczne, jeźli żona mężowi przebacza niewiarę i zdradę, nie tak ma się rzecz ze zdradą żony. Żona przebaczająca mężowi, nie traci nic na swojéj godności, jéj bowiem przeznaczeniem jest: miłość, łagodność i pokora. Gryzelda jest przeto utworem prawdziwie romantycznym, ale mężczyzna który przebacza, nie należy do świata romantycznego. Kotzebuego *Odludek* nie może nigdy uchodzić za utwór prawdziwej romantyczności. — Ta zasada romantyzmu ma drugą sobie odpowiednią: Również jest romantycznie, jeźli młoda żona jest wierną staremu mężowi, n. p. Genofefa swemu staruszkowi. O młodym zaś mężczyźnie, któryby swojej staréj żonie pomimo wszelką pokusę, wierności dochował, powiedzianoby, że jest młodym poczciwym człowiekiem, ale ta cnota wierności, nie byłaby romantyczną; poetyczne uniesienie nie łączy się z takiém poświęceniem, raczej uśmiech ironiczny jest nagrodą takich bohaterów. Tysiącami można przeto naliczyć poetów, którzy wierność i przywiązanie młodych żón do starych mężów opiewali wzniośle i traicznie, z całym wdziękiem romantycznéj Muzy, gdy przeciwnie ledwie jednego znajdzie pisarza, któremuby przyszło na myśl, kreślić w poetycznych obrazach wierność Ganimeda do jakiéj Hekuby. Gdyby nawet płeć piękna doczekała się emancypacyi i gdyby stanęła z płcią brzydką co do praw na równi, równość ta nie rozciągałaby się przecież na poezyję romantyczną. Tu jest kres, gdzie prawa męskie nie dla kobiety, a cnoty kobiéce, nie dla mężczyzny.

Napoleon zwidza groby w Wiédniu. Przenieśmy się w głąb Świątyni OO. Augustynów! Oto właśnie noc zapadła. Grobowiec Chrystyny miga się od czerwonego światła pochodni, które się jaskrawo czepia po kolumnach, reszta część świątyni zaciemniona w mistyszném pomroczu, i tylko gdzieniegdzie przewija się wstęga dymu z kopcących pochodni; wysoko u ołtarza zawieszone lampy ronią mdłą na słupy dymu poświatę. Nieruchomo stoją ludzie z pochodniami przed piramidą, któréj postacie zdają się ruszać w kierunku migotnych pochodni, zlewających tę grupę jaskrawém światłem. Naprzeciw téj piramidy stoją czteréj mężczyzni zatopieni w jéj widoku, byli to: Pleban Franzoni, dwaj cudzoziemcy, i trzeci cudzoziemiec — Napoleon. Działo się to d. 5. października r. 1809. Nikt tam nie widział Cesarza Francuzów, bo wchody były zamknięte. Napoleon przybył z jenerałami Rapp i Duroc, aby tę świątynię oglądać. Milczący, ponury, zatopiony w myślach, stał długo Cesarz z założonemi w tył rękoma, mały kapelusz trzymając, rzadki włos na głowie jego powiewał od lekkiego przeciągu powietrza. Oblicze jego promieniło się jakimś magicznym wyrazem, a cała postać poświetlała czerwonym odblaskiem pochodni. Byłto obraz Dantego! Cisza panowała dokoła, nikt ani słowem, ani ruchem nie śmiał jéj przerywać. Byłato chwila wzniosła, uroczysta, demoniczna zarazem i pamiętna nazawsze. Nagrobek Chrystyny miał Cesarz za najdoskonalszy utwór dłuta Kanowy, mniemał jednak, żeby się lepiej wydawał, gdyby go ustawiono od chóru naprzeciw wielkiego ołtarza. Pytał o grobowiec wielkiego Swietena, wziął jego popiersie do ręki i oglądał je z uwagą. Również z zajęciem oglądał pomnik Dauna i bitwę pod Collinem, w któréj znalazł podobieństwo z bitwą pod Austerlitz. Nagle, wskazawszy pogardliwie ręką, zawołał: »Oto, cała wielkość jego! wszystko dym zniknmy!« O czemuż częściej nie pamiętałeś na to, wielki Napoleonie!

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją J. W. Kochańskiego, wyszedł N. 51. i obejmuje: 1) Czem można oprócz oborniku żyzność gruntów powiększyć? (Ciąg dalszy.) 2) Jak można zapobiedz niedostatkowi paszy? przez Wiliama Loebe. 3) O znakach, po których nosaciznę i tylczak u koni poznać można, jakoteż o zołzach, z których przez zaniedbanie tychże, nosacizna powstaje. (Dokończenie.) 4) Co należy czynić, aby lasy w porządku utrzymywać (nadesłane). 5) Sposób czyszczenia studni. 6) Dachówki szklanne. 6) Pokrzywa na jarzynę i sałatę.

Dziennika mód paryskich, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 26. i zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Wilija świętego Jędrzeja. 2) Wieniec różowy. 3) Wellington i podróżujący kupiec. 4) Teatr. 5) Uwiadomienie.

Pomnik Moliera w Paryżu na rogu przy ulicy Traversière do téj chwili jeszcze nie odsłonięty. Obrano to miejsce dla tego, ponieważ Molier naprzeciwko tego domu, przez który jest przechód do Palais-Royal, zakończył życie (d. 17. lutego 1673). Pomnik ten nie ściągnie uwagi, na jaką zasługuje; nieustający bowiem turkot powozów i tłumy osób tamtędy napływające, nie dozwolą i na chwilę wziąć na widok tego monumentalnego dzieła. Poświęcenie tego pomnika ma się odbyć d. 15. stycznia, w dniu rocznicy poety, który się dnia 15. stycznia 1622 urodził i doszedł wieku lat 51.

Życie ludzkie. Piérwsze początki ery chrześcijańskiej zdają się nam bardzo odległe, a gdy weźmiemy lata 37 ludzi, żyjących po lat 50, dosięgamy tych piérwszych początków, co większa, ponieważ w każdém stuleciu w jakiejś części ziemi choć jeden człowiek dochodzi stu lat, więc tylko okres życia 18 ludzi oddziela nas od epoki urodzenia Chrystusa. Przykładając tę miarę do okresu czasu od Adama, aż po nasze dni, znajdujemy, że życie 116 ludzi po lat 50, a 58 ludzi po lat 100 liczących, zapełni tę wielką kolej wieków. Czasy starożytne i wieki średnie są nam wedle téj rachuby tak bliskie, że się wstydzić wypada, iż takie nadajemy im nazwiska; życiem bowiem 25 ludzi sięgamy czasów Karola Wielkiego, a życiem 6 ludzi Rudolfa Habsburga. Jakże przepędzamy ten czas, który podzieliliśmy ku naszéj wygodzie na wieki, lata, miesiące, tygodnie, dni i minuty? Uważajmy na przykład 72letnego silnego starca, który jest pracowitym i ma dostatki. Jak przepędza codziennie te 24 godzin? Sen zabiera mu codziennie najmniéj 8 godzin, co wynosi w całém życiu 24 lat, przez które w łóżku leży. Do ubiérania i rozbiérania, do wstawania z łóżka i zabiérania się do snu, do golenia brody, potrzebuje dziennie pół godziny, co w 72 latach czyni półtora roku. Na pielęgnowanie ciała swego przy śniadaniu, obiedzie, wieczerzy, można policzyć dziennie w przecięciu dwie godzin, a więc z tych 72 lat odłączyć należy 6 lat. Na poufne rozmowy w gronie rodzinnem, na zwierzenia się serdeczne, konkury małżeńskie, przypada najmniéj jedna godzina dziennie, co razem wynosi trzy lata. Na pogadance ku zabawie, na baraszkach, upływa codziennie jedna godzina z okładem; poświęca się tym sposobem trzy lata życia. Oprócz tego są rozrywki, którym się wszystkie klasy ludzi chętnie oddają, jako to: teatra, bale, rozmaite gry; na to można z pewnością liczyć dwie godziny codziennie, co razem w 72 latach czyni sześć lat. Choroby w starości i choroby dziecięce, również i słabości w wieku mezkim, zabiérają nam najmniéj dwie godziny codziennie, czyli sześć lat z całego 72letniego życia. A więc na zaspokojenie prawdziwych lub urojonych potrzeb człowieka przypada z 24 godzin każdego dnia 19 1/2; pozostaje tylko 4 1/2 godziny do pracy. Czynny i zdrowy człowiek, mający lat 72, obraca około 53 lat, na jedzenie i picie, spanie, zabawę i t. d. — 19 zaś lat tylko poświęca swemu zawodowi. — Aby utrzymać tę maszynę swoję w równowadze, ileżto substancyi spożywa, ile płynów bierze w siebie przez lat 72. Zdrowy, silny, średniéj tuszy człowiek, waży 150 funtów. Aby tę wagę utrzymać, potrzebuje wina, kawy, wody, piwa i innych płynów najmniéj dwa funty codziennie, a gdy w 72 latach mamy 26280 dni, więc to wynosi 52,560 funtów wszelakiego płynu; chleba, mięsa, jarzyny można dziennie dwa funty, a więc na całe życie 52,560 funtów liczyć; 72letni człowiek spotrzebuje więc 105,120 funtów pokarmu, przeto 700 razy więcéj, niż cała jego waga wynosi.

Z Paryża. Nowa gwiazda wzejszła na horyzoncie dramaturgii francuskiéj. Ta gwiazda w czarnym fraku i lakierowanych butach ma to samo imię, co sławny Hugo; nazywa się bowiem Wiktor Séjour. Drama, którę napisał pod tytułem *Diégarias*, przyjętą została jednogłośnémi pochwałami od komitetu teatru français; sztuce téj rokują większe jeszcze powodzenie niż Lukrecyi Ponsarda. Pan Wiktor Séjour ma 25000 fr. rocznego dochodu, jest przyjacielem pana Dumas i równie jak ten, Kreolczykiem.

Filantropija w Brazylii. Literatura anonsowa wyświéca także w niejednym względzie stan oświaty narodów, czego dowodem są pisma brazylijskie, z których dziennik Standard wyjął następujące ogłoszenia, które, jak mówi, są nader liczne po pismach tamtejszych: »Jest na sprzedaż mulatka, mamka 20letnia, która ma przewyborne mléko, piérwsze jéj dziecię ma dopiero cztéry miesiące; bliższéj wiadomości zasięgnąć można przy ulicy San Pedro pod n. 180. — Jest na sprzedaż niewolnica, która ma mléko i ośmiomiesięczne dziecko. Nabyć ją można z dzieckiem lub bez dziecka. Nie jest ona ułomną. Dowiedzieć się przy ulicy da Roserria. — Jest na sprzedaż murzynka, która przed 6 miesiącami zległa. Bliższa wiadomość przy ulicy Largo di Poco n. 5. — Jest na sprzedaż mały dwunastoletni mulat, ładny chłopczyk, przydatny bardzo na podarunek w święta Bożego narodzenia, t. j. na kolędę. Dowiedzieć się można przy ulicy San-Lameris.« —

Okręt rzadkiéj wytrwałości. Témi czasy zawinął do zatoki Havre we Francyi okręt kupiecki *Olimpia*, o ciężarze 300 beczek, zbudowany r. 1826 w Bostonie. Przez lat siedmnaście był ten okręt nieustannie na morzu, ani przez jeden cały miesiąc nie bawił w zatoce, co zwłaszcza w porze zimowéj zdaje się niepodobieństwem. Czterdzieści i jeden razy przebywał on morze atlantyckie, a więc 5 razy w roku płynął z jednéj półkuli świata do drugiéj. Dziwną jest rzeczą, że w tak długiéj i dalekiéj żegludze, żadnego nie doznał na morzu nieszczęścia.

Staro-indyjskie malowidło. Pewien mieszkaniec z Peru, nazwiskiem Echegaray, potomek Inkassów, przywiózł z sobą do Paryża malowidło przedstawiające Inkassów zacząwszy od rządów Manzo-Kapak aż do Atahualpa. Czystość rysunku, wprawny pęzel i żywość kolorytu tego olejnego obrazu, świadczą dostatecznie, że ta sztuka była u Indyjanów na wysokim stopniu.

Spieszne odbudowanie zimowego pałacu w Petersburgu. Jako cud głoszono po świecie, że spalony pałac zimowy w Petersburgu zdołano w przeciągu jednego roku całkiem odbudować. Jakim to sposobem uskuteczniono, opowiada Custine: Sześć tysięcy robotników było nieustannie przy budowie zajętych. Przy mrozie 28 do 30 stopni, pracowali ciż robotnicy w salach, które ogrzéwano aż do 30 stopni ciepła, aby ściany spieszno wysychały. »Opowiadano mi,« dodaje Custin, »że ci, którzy w salach najmocniéj ocieplonych malowali, mieli na głowach czapki wyrobione z lodu, aby w téj parnéj temperaturze zawrotu głowy nie dostali. Takimto sposobem udało się, tę olbrzymią budowę w jednym roku ukończyć.

Redaktor Jan Nep. Kaminski. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.